WYLEĆ PTAKIEM
Z SWEGO GNIAZDA

MIŁAĆ BĘDZIE
TAKA JAZDA
(W. POL)

ORLI LOT

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY P. T. K.

ROK VI. PAŹDZIERNIK 1925. Nr. 8



PAŁAC LETNI HR. OSTROWSKICH W TOMASZOWIE MAZ.

STANISŁAWA NIEMCÓWNA.

Z moich wędrówek.

(Listy z podróży do Egiptu).

IV.

2—8 kwietnia. Kairo. Moje drogie! List do Was napisany długo czekał wysyłki — aż wreszcie uległ zniszczeniu. Pytacie dlaczego? Był w treści swej gorzki — ot i przyczyna, że nie należało go publikować. Jak człowiek obserwuje i sumuje swe spostrzeżenia, to czasem źle wypada ostateczny rachunek i lepiej się z bilansem przed światem nie pokazywać — prawda? A tym moim światem prac i myśli w dużej mierze Wy jesteście — Kochane, i nie chciałabym w naszą pogodną zazwyczaj atmosferę wprowadzać chmur.

Otóż muszę Wam dziś wcale miłą nowinę donieść. Kongres geograficzny już się zaczął na dobre, t. zn. pracujemy w różnych sekcjach, gdzie według zainteresowań i ich kierunku ludzie się wzajem informują o wyniku swoich badań. Więc czynną jest sekcja geografji fizycznej, antropogeografji i w. i. Ponieważ mało zgłoszono referatów odnoszących się do nauczania geografji, więc te nieliczne przydzielono antropogeografji i w ten sposób w tej właśnie sekcji przedstawiłam uwagi p. dr. Polaczkówny na temat atlasów wojewódzkich i swe pomysły prowadzenia wycieczek geograficznych.

Mogę śmiało powiedzieć, że zainteresowanie referatami temi nie stało poniżej ogólnego poziomu zajęcia się pracami Polaków. Orzech jednak nie był tak łatwy do zgryzienia — chodziło o kilkunasto-minutową przemowę w języku francuskim na temat bardzo mi zresztą bliski i znany. Referat p. Polaczkówny odczytałam, ilustrując go kartograficznym materjałem z zakresu województwa krakowskiego. Chodziło mi bardzo, aby mówić o wycieczkach, a nie czytać... Kiedy więc jakowyś czarny dżentelmen Mahmund Ali czy inny skończył doskonałą angielszczyzną swe wywody na tematy afrykańskie, z lekkiem drżeniem serca zajęłam jego miejsce za zielonym stolikiem i... poddałam się natchnieniu geograficznemu, czasami tylko zerkając do rękopisu.

Nie widziałam przed sobą twarzy mniej lub więcej czarnych członków sekcji — tylko przed oczyma wyobraźni stanęły mi nasze wspólne wędrówki od klasy I, kiedy to zaledwie sięgałyście do kopca Kościuszki — po tę ostatnią karpacką w roku zeszłym we wrześniu odbytą. Sposób Waszych obserwacyj — pewien z mej strony nacisk, by Was pobudzić do zainteresowania się problemami geograficznemi, to wszystko było dostatecznym tematem do rozwinięcia; i kiedy podkreśliłam, że uwagi moje są wynikiem doświadczeń kilkoletnich i owocem dyskusji z współuczącymi, a nawet „même avec mes éleves“, to chyba zrozumiecie, że stanęłyście mi wtenczas przed oczyma jak żywe i przypomniały mi się wyniki

ankiet i inne drobne na marginesie naszych rozmów snute uwagi o metodzie i wartości wycieczek geograficznych.

Moje Kochane! dziękuję Wam teraz za współpracę nieświadomą z Waszej strony i na jedno jeszcze pragnę zwrócić Waszą uwagę. Na nicby się nie zdały obrazy fantazji ni wysiłek mózgu, gdyby ten Boski narząd mowy ludzkiej nie stał się nam zupełnie posłuszny. — Błogosławiłam moją pracę nad dykcją, wymową i modulacją głosu — wdzięczną byłam profesorowi Wysockiemu za godziny, jakie poświęcił pracy nad moim głosem — oddało mi to uprzednie ćwiczenie dużą usługę tak, że i treść zdała się być bardziej ciekawą i francuszczyzna nabrała dziwnej żywości.

Efektem dla Was ważnym będzie z mej strony urządzenie dla Was kursu wymowy pod kierunkiem sił fachowych może już w roku przyszłym — efektem dla mnie było szereg znajomości wśród moich słuchaczy a głównie uprzejmości ze strony Hiszpanów i Belgów, które starałam się zawsze obrócić na korzyść dobrej opinji o naszym narodzie i polskiej szkole.

KAM.

Wycieczka w okolice Czarnohory.

Ziemia śpi...

Przed oknami mknącego pociągu przesuwają się faliste łąki, szumiące bory, srebrne wstęgi rzek, mieniące się wschodzącem słońcem w różano-złote fale... Chwieją się na wietrze niezmierne łany zbóż i kukurudzy, ciągnące słę w dal jak tylko okiem sięgnąć... Uśmiecha się cudna kraina bujnem kwieciem pasznistych łąk, złotem zbóż... srebrem żyta.

Z pośród dalekiego oceanu zieleni wykwitają prześliczne chabry, rumiany, różowe nieśmiertelniki, a tu i ówdzie chylą się w łagodnym skłonie szumne burzany.

Im dalej w głąb, coraz mniej równi i dolin, w miejsce których wzbija się pod obłoki szczyt górski, u stóp którego częstokroć na dnie tajemniczej przepaści rozpryskuje fale o kamienie górski strumień.

Północne stoki polskiej Czarnohory obmywa Prut i jego dopływ Czarny Czeremosz, rzeki płynące podłużnemi jarami, tworzące szereg kotlin połączonych przełomami.

Była dziesiąta rano, gdy przeraźliwy świst maszyny oznajmił nam, pasażerom pociągu stanisławowskiego, że stanęliśmy u najbliższego celu zamierzonej podróży w stolicy Pokucia, Kołomyi. Chwiejąc się na nogach, bo trzeba wiedzieć, że dwudniowa podróż koleją może nawet najwytrzymalszych wyprowadzić z równowagi, podążyliśmy na dworzec. Telegraficznie z naszej Bochni zamówiony powóz wcale nie zamyślał przybyć, czekaliśmy więc z iście stoicką cierpliwością na jaką trzęsącą okazję. Jakoż po upływie trzech godzin natrafiła się nam podskakująca furka, prawdziwa dryn-

dulka z „Pana Tadeusza“. Powożący Hucuł w barwnie wyszywanym serdaku, czy też kożuchu, w którym paradował pomimo upału, zaciął rosłego konika i furka potoczyła się po kamieniach, unosząc kiwające się z boku na bok osobistości, podskakujące conajmniej na decymetr w górę i wzdychające przytem na różne tony: „Ach! Och! Uch!“.

Nie należy jednak sądzić, że przeszkadzało to nam w bacznem przyglądaniu się miastu, które zdaleka prezentuje się niezmiernie zachęcająco, tworząc ze swoich dzielnic jeden przepiękny, ogromny ogród. Zato zbliska wcale mi się nie podobało, jak zdaje się i każdemu z naszych wycieczkowców. Po pierwsze nie grzeszy wielką czystością, a nawet śmiało można rzec, jest bardzo, bardzo brudne, po drugie jest zupełnie bezbarwne i szare, jak są szare i bezbarwne jego duże, piętrowe kamienice. A chociaż od tego miasta wzięły nazwę skoczne kołomyjki, nic nie przemawia za tem, by Kołomyja miała w sobie coś z wesołego tańca, chyba że należy zaliczyć tutaj kręcące się po ulicach karuzele z rojem andrusów kołomyjskich. Możliwe zresztą, że po bliższem zwiedzeniu miasta odkrylibyśmy jego ukryte zalety, ale z powodu braku czasu musieliśmy poprzestać tylko na przelotnem wrażeniu.

Od miasta biegnie w dal szeroka, równa droga, po której obu stronach ciągną się malownicze góry w łagodnych zarysach. Przecudne są one rankiem, kiedy je spowija srebrzysta zasłona mgły, a jasna zorza stroi w barwy tęcz uśpione lasy i łąki. Słowem przyroda strojna w czarowną szatę wschodu sprawia wrażenie zaklętej krainy z bajki...

Hen w dali, wśród stromych jarów, wspaniała rzeka Prut toczy spienione fale, błyskając w rannem słońcu perłami śnieżnych fal, słynny Prut opiewany w tamtejszej poezji i pieśniach!

O nim to nucą Huculi „Nad Prutom ułuzi chatczyna stoit“, kiedy idą stromym jego brzegiem, krętemi i wąskiemi drożynami, hen, ku połoninom, tym rozległym łąkom na stokach gór, gdzie mały hucuł pasie stada owiec, pobrzękujących w pachnącem żywicą przestworzu pękami dzwoneczków.

Wśród gór i górskich szczytów, w pięknej kotlinie leży Kosów, słynna miejscowość lecznicza z zakładem dr. Tarnawskiego i głośną fabryką kilimów. Miasteczko przecięte małą rzeczką Rybnicą nie posiada nic ciekawszego, gdyż do osobliwości nie można przecież zaliczyć kilka podrzędnych knajp i bud żydowskich. Tuż przy samem miasteczku wznosi się stroma ściana, coś w rodzaju piaskowca, nosząca nazwę góry „Miejskiej“, a z boków jej i załomów sterczą nagie cyple skalne, sprawiające wrażenie, jakgdyby lada chwila miały runąć na kosowskich przechodniów.

Hen w górze... na najwyższym szczycie wzniósł ramiona duży, kamienny krzyż...

Kosów cały dookoła otoczony jest gęstemi lasami, zdającemi się ciągnąć w nieskończoność... Wśród tych to borów pędziła bez ustanku nasza furka, bo zmierzch stawał się coraz większy, a i srebrny księżyc już wpełzł cichaczem na ciemny okrąg nieba, rozświetlając blado mroczne głębie borów...

Było zupełnie cicho... tylko głuchy turkot naszej furki mącił spokój leśny. Las stawał się coraz czarniejszy i coraz więcej spowijał się ponurym całunem czerni. Noc królowała w świecie...

Przejeżdżaliśmy koło rumowisk skalnych i usypisk, zwanych tu cekotą, mijaliśmy płaje t. j. stare linje komunikacyjne, idące pod grzbietami gór, a wymijające doliny. Na stokach rozciągały się carynki, stepowe łąki, a tu i ówdzie wychylał się różanecznik, odgrywający tu rolę szarotki tatrzańskiej.

Godziny mijały powoli, jedna za drugą, a Kosów wciąż jeszcze był daleko... Z boku majaczył ciągle stożek górski, który żadną miarą nie chciał zniknąć nam z oczu, poprostu jakby chodził za nami. Hucuł objaśniał nas, że ta góra włóczy się za jadącymi, co jednak wcale nie jest prawdą. Droga ta bowiem tak koło niej się wije, że rozległa góra długi czas jest przed oczyma jadących. Nazwy tej góry nie przypominam sobie, ale wiem, że posiada przydomek używany przez ludność huculską.

Około dwunastej w nocy zajechaliśmy do Kosowa, stąd zaś przez most na Rybnicy dostaliśmy się do wsi Moskalówki, posiadającej — jak rano miałam sposobność sprawdzić — mały murowany kościółek polski i również małą cerkiewkę z drzewa, w stylu prawdziwie huculskim. W tej to cerkiewce byłam którejś niedzieli na nabożeństwie i dziwne stamtąd wyniosłam wrażenie. Przedewszystkiem uderzyła mię wielka swoboda w zachowaniu uczestników nabożeństwa. Kobiety w swych malowniczych strojach rozsiadły się na stopniach bocznych ołtarzy, gwarząc w najlepsze między sobą. Małe dzieci jadły chleb i kukurudzę, a mężczyźni w przeznaczonej dla nich części cerkwi rozmawiali z zajęciem o swoich sprawach. Diak intonował pieśni, a smętne: „Hospody pomyłuj“ raz po raz odbijało się o ściany cerkwi.

W samym Kosowie, w rynku, napotyka się letników w białych ubraniach, bez kapeluszy i w trepkach. Raz nawet widziałam bardzo eleganckiego pana, letnika, wysiadającego z powozu w białych rękawiczkach, w białem ubraniu, ale boso. Są to letnicy przeważnie z zakładu dr. Tarnawskiego, nie cieszący się jednak sympatją tutejszej ludności, która powszechnie zowie ich cholernikami. Wogóle Huculi niechętnie znoszą w swojem otoczeniu obcych przybyszów. Ludność zajmuje się hodowlą owiec, wypasaniem bydła na połoninach i tkactwem. Jużto prawda, że co drugi dom to tkacz.

Od rzeczki Rybnicy idąc wąską ścieżyną ku wschodowi, dochodzi się do rozdroża, gdzie stoją w trzy strony zwrócone krzyże z dwoma poprzecznicami. Są to krzyże prawosławne. Drożyną wiodącą stąd na prawo dochodzi się do polskiego cmentarza, ogrodzonego murem, z dwiema żelaznemi bramami. Wśród grobów zwraca na siebie uwagę szczególnie jeden, z artystycznie rzeźbionym aniołkiem. To miejsce wiecznego spoczynku najmłodszej córeczki dr. Tarnawskiego, a ten aniołek to jej naturalny wizerunek.

Podczas mojego pobytu w Moskalówce wybrało się całe nasze towarzystwo na polowanie w gęste lasy okoliczne, gdzie ma się znajdować gruba zwierzyna. Niestety nasi myśliwi więcej umieli polować na piękne widoki, niż na zwierzęta i wyprawa skończyła

się bardzo niepokaźnie. Zato mieliśmy sposobność spinać się wąziutkiemi pasami ziemi pod strome góry, podczas gdy po obu stronach tych ścieżek czyhały na nieostrożnych skaliste wyrwy i doły, kryjące na dnie huczące potoki. Jeden z nich dał nawet zacządek serji wodospadów, kończących się na największym i najsławniejszym „Huku", nazwanym tak od charakterystycznego jego szumu.

Po tygodniowym pobycie w Moskalówce, wywędrowaliśmy do stolicy Ormian, mianowicie do Kut. Kuty układły się jak do snu u stóp góry „Owidjusz", a droga z pod góry tej wiodąca idzie do rozległego miejsca, ozdobionego pomnikiem sławnego Szewczenki. Dokoła niego odchodzi fotbal, bramki i gole, a fotbalistami są zwykle „tutejsi" wyznania mojżeszowego. Po drugiej stronie Kut, od wschodu, wznosi się góra Sokólska, której podnóża obmywa Czeremosz wartkiemi falami, niosącemi nieraz na sobie szerokie tratwy i drzewo spławiane przez Hucułów. Z Worochty leżącej za Kutami wybraliśmy się do Jaremcza, słynnego skałą Dobosza. Jeden Hucuł opowiadał mi wiele podań krążących między ludem o skale i rozbójniku Doboszu, ktory jej dał nazwę. Na skale wyryto mnóstwo napisów i nazwisk, a na jej wierzchołku wyrzeźbiono krzyż z kamienia.

Huculi są ludem cichym i ubogim, a różniącym się bardzo od górali z Tatr. Na strój ich składa się barwnie wyszywany serdak, okrągły kapelusz i kierpce, czyli skórzane obuwie. Hucułka zamiast spódnicy ma dwa fartuchy, stanowiące główną ozdobę jej w stroju, w którym przeważają kolory: czerwony, zielony i żółty.

— — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 20 lipca byliśmy u właściwego celu naszej wędrówki, na Howerli.

Był przecudny, lipcowy wieczór... przed nami wznosił się wyraźny ogrom góry spokojny i cichy, wabiący tajemniczością fjoletowych borów u podnóża. Krwawe promienie zachodzącego słońca rzucały niesamowite blaski na fjolet i czerń gór.

Powoli, pełni ważenia, szliśmy płajem pod skalną górą, coraz wyżej i wyżej... Hen, pod naszemi stopami zostały szumne stepy, okryte teraz oparem i mgłą, została niezmierzona czerń otchłani, falujące wzgórza, bory i srebrny Prut...

Gwiazdy rozpaliły na posępnym błękicie niebios miljardy pochodni, a blady miesiąc seledynowym blaskiem oblał cichą czerń, że wyjaśniła się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej i zapełniła cieniami drzew i skał...

W taką letnią, cudną noc, gdy kwiecie wionie zawrotnym czarem, gdy upaja leśne tchnienie, patrzyliśmy ze szczytu Howerli w bezmierną otchłań... w dół.

— — — — — — — — — — — — — — —

Została za nami hen, daleko, Howerla... tylko jej obraz niezatarty, głęboko ukryty w sercach naszych, poniesiemy do ojczystych pól i dolin. Żegnaj Howerlo!

Z Jaremcza wybraliśmy się w drogę powrotną do Kołomyi, a stamtąd dnia 29 lipca odjeżdżaliśmy już do Lwowa.

Długo jeszcze z okien mknącego pociągu żegnaliśmy Czarnohorę, aż póki całkiem nie znikła nam z oczu, a potem każdy z nas wrócił wspomnieniami do tych gór i jarów, do połonin, do wzgórz, kędy wietrzyk igra w falach zbóż i kukurudzy.

Jeden z towarzyszy podróży, jak się zdaje najbardziej marzycielsko usposobiony od reszty, wychylił się z okna wagonu i zawołał do niknących w dali gór: Żegnaj nam Czarnohoro!

Ten okrzyk pożegnalny, jestem pewna, pochwycił wietrzyk na figlarne skrzydła swoje i uniósłszy przez kwietne połoniny i żyzne pola, złożył u stóp Howerli...

Od Redakcji.

Artykuły, umieszczone w tym numerze, dostarczyli uczniowie Seminarjum Nauczycielskiego w Tomaszowie Mazowieckim, którzy pracują bardzo intensywnie w dziedzinie krajoznawstwa pod kierunkiem profesora Tadeusza Seweryna.

WŁADYSŁAW NOWAK.

Zarys historji Tomaszowa Mazowieckiego.

Tomaszów, zwany Rawskim, Piotrkowskim lub Mazowieckim, otoczony jest pięknemi lasami, przez które przebija się malownicza wstęga Pilicy. Opodal znajdują się wiecznie bijące „Niebieskie źródła“, których urok słusznie cieszy się w Polsce sławą. W odległości 12 km na lewym brzegu Pilicy leży miejscowość Spała, ze znanym pałacem carskim, w którym dziś mieszka Prezydent Rzeczypospolitej. W lasach otaczających Spałę było pełno zwierzyny, którą wojna zniszczyła.

Tomaszów założony został przez hr. Antoniego Ostrowskiego, herbu Rawicz.

Parafja chorzęcińska w księgach swoich wzmiankuje, że w r. 1789 zaledwie kilka domów stało na miejscu późniejszego miasta. Wśród odwiecznych borów, w okolicy pięknej i malowniczej, pomiędzy zbiegiem trzech rzek: Pilicy, Czarnej i Wolbórki, stanął pałac letni, który pokryto dachem 1812 r. Hr. Ostrowski nadał mu nazwę „Tomaszowa“. Chciał tem uczcić pamięć ojca swego Tomasza, kasztelana czerskiego, prezesa senatu Księstwa Warszawskiego. Hr. Antoni Ostrowski, znalazłszy rudę żelazną w swoich dobrach nad Pilicą, sprowadził górników z Miedzianej Góry, osadził ich nad Wolbórką w dzisiejszem centrum miasta, wzniósł wielki piec do wytapiania żelaza, postawił odlewarnię i walcownię. Małe pokłady rudy nie dawały zysku, więc hr. Antoni powziął myśl rozwinięcia innego rodzaju przemysłu. Sprowadził przemysłowców Niemców i założył dwie fabryki, jedną w Antolinie pod Ujazdem, drugą w Tomaszowie w 1823 r., w tym samym roku przeniósł z wioski Tobiaszów piękny drewniany kościółek, który do dziś dnia stoi na starym cmentarzu.



Wycinanki opoczyńskie
„Klapka w pawie ocy".



„Klapka w serca".

W erze Księstwa Warszawskiego Tomaszów zaczyna się szybko rozwijać. W 1824 r. otrzymuje prawo osady fabrycznej i handlowej, a w r. 1830 godność i przywileje miasta. Najświetniejszy rozkwit Tomaszowa dokonywa się w latach od 1851—1879. Zniesienie granicy celnej między Królestwem a cesarstwem Rosyjskiem w r. 1850 otworzyło dla rozwijającego się młodego przemysłu rozległe rynki zbytu na Wschodzie. W tym to czasie fabrykanci dorobili się największych fortun, a ludność miasta Tomaszowa wzrosła do 12.000. Tomaszowskie towary i dywany rozchodzą się po całej Rosji.

W 1864 r. wzniesiono kościół parafjalny pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego, a w 1877 r. wybudowano gmach szpitalny pod wezwaniem św. Stanisława i umieszczono w nim 40 łóżek ; w r. 1884 przeprowadzono kolej żelazną przez Tomaszów i założono pierwszą w Królestwie filję Banku dla popierania handlu i przemysłu. Powoli otwierano szkoły początkowe, z których najstarszą jest dzisiejsza szkoła im. Józefa Piłsudzkiego (Nr. 1), założona jeszcze w roku 1824, a pomieszczona dawniej przy ulicy Kaliskiej. Obecnie Tomaszów posiada 15 szkół powszechnych i 4 średnie.

Tomaszów przed wojną liczył 31.500 mieszkańców, obecnie po ostatnim spisie w 1923 r. liczy 35.531., w tem katolików 23.381, ewangielików 3.233, prawosławnych 132 i żydów 8.782. Obecnie Tomaszów prawie nie rozwija się, w roku ubiegłym zaprowadzono elektryczność w mieście; w projekcie jest także przeprowadzenie kanalizacji.

JÓZEF JABŁOŃSKI I ZENON GOWOREK.

Niebieskie Źródła.

Na tle puszczy lubocheńskiej, wśród zielonych łąk i piaszczystych ławic wije się srebrną wstęgą Pilica. Na prawym brzegu tej rzeki, w $1^1/_2$ klm. odległości od Tomaszowa Maz. znajdują się „Niebieskie Źródła", jeden z najcenniejszych zabytków przyrody

polskiej. Płyną one majestatycznie wzdłuż Pilicy, obracając po drodze koło wiejskiego młyna, aż wreszcie po $1^1/_2$ klm biegu łączą się z „mazowiecką Wisłą“.

Średnia szerokość tych źródeł wynosi 10—50 m, a średnia głębokość 4 m. Dno piaszczyste i porosłe gęsto rzecznemi wodorostami, sięgającemi gdzieniegdzie do 2 m, między któremi przemykają się zwinne małe kolczatki. Wodorosty owe podczas zniżki barometrycznej w lecie odrywają się od dna i pokrywają powierzchnię wody. Woda źródeł tych w górnym biegu nie zamarza nawet podczas największych mrozów. Temperatura jej 23. III. 1925 wynosiła $+8^0$ C, gdy na powietrzu było 0^0. Poziom wody leży o 2 m wyżej od poziomu rzeki Pilicy.

W miejscu, gdzie źródła wydobywają się, głębia dochodzi do 5 m. Dno kłębi się w kilkunastu miejscach, czyniąc wrażenie gotującej się wody. Dokoła płachty czystego piasku mienią się barwą zasadowego węglanu miedzi — stąd nazwa tych źródeł. Gęsto rozrzucone domki ślimaków migocą, jak gwiazdy na tle turkusowego nieba. Kamień (wapień) wrzucony do tej krystalicznej wody, leci na dno, mieniąc się całą tęczą barw, a gdy osiądzie na piasku, zda się, każde źdźbło zanurzone w wodę, każdy kamyk jasnej barwy opalizuje gamą tęczową, w której przeważa ton błękitny.

Jaka przyczyna tego pięknego zjawiska? Ze smutkiem trzeba odpowiedzieć: niewiadomo — gdyż nikt poważniej tym zabytkiem przyrody nie zajął się. Prawdopodobnie wchodzi tu w grę załamanie się refleksów barw pobliskiego lasu, łąki i wody Pilicy. Dr. Ant. Sabatowski w „Przyrodzie i Technice“ (IX 1924) pisze, iż źródła te są „podobno radjoczynne“ i należą do tych skarbów naszej ziemi, które „czekają na badacza“. Czekają, ale czy doczekają się kiedy?

Źródła te znajdują się pod opieką Państwowej Komisji Ochrony Przyrody (P. K. O. P.). A jednak przed trzema laty wycięto na



Wycinanka w „Kogutki“ ze wsi Jasienia, pow. rawski.



„Lalecki“.

ich brzegach wysmukłe olchy, po których dzisiaj tylko czarne, szpetne pniaki pozostały. Barbarzyński topór oszczędził tylko kępę drzew, rosnących nad bijącemi źródłami oraz dwa ostrowia porośnięte olchami, leszczyną, czeremchą i kaliną. Czy ten uroczy zakątek utrzyma się długo?

Wątpliwe. Źródła te wraz z przyległemi obszarami zakupił od hr. Jana Krystyna Ostrowskiego p. Jabłkowski, który — o ile praw-



Niebieskie źródła.

dziwą jest informacja „Kurjera Łódzkiego" z marca b. r. — sprzedał je Łodzi. Może wkrótce rozpoczną się roboty kanalizacyjne, które cementowemi przewodami uprowadzą wodę „Niebieskich Źródeł" do polskiego Manchesteru, a jednocześnie pozbawią Polskę tak cennego pomnika przyrody. Wtedy zniknie i bujna roślinność nadbrzeżna, ptactwo przeniesie się w głąb lasów — pozostanie tylko martwy szkielet technicznej konstrukcji.

W roku bieżącym oszpecono te źródła wysokim szafotem, a raczej żurawiem, przy którego pomocy prywatny przesiębiorca 5 razy dziennie czerpie wodę do beczek (à 50 wiader), któremi rozwozi ją po Tomaszowie.

Nad źródłami temi polecił car Mikołaj II w 1912 r. wybudować mały pomost, z którego często lubił podziwiać błękitną toń

podczas pobytu swego w pobliskim pałacu w Spale. Podczas okupacji niemieckiej liczni uczeni niemieccy zajęli się badaniem chemicznej zawartości tej wody. Przyjeżdżali różni przedsiębiorcy, którzy zamierzali nad źródłami temi zbudować letniska. Dzisiaj nikt o tem nie myśli.

Wycieczki z Warszawy, Łodzi i innych miast odwiedzają od czasu do czasu ten uroczy zakątek koło Tomaszowa. Przyjezdni goście rzucają w błękitną toń kamienie, przyczyniając się tem do zanieczyszczenia naturalnego wyglądu dna bijących źródeł. Może zaprzestaliby swej zabawy, gdyby im powiedzieć, że Niemcy monety wrzucali do głębi — nie kamienie. Nie bez pewnego skutku byłoby skierowane do zwiedzających te źródła pouczenie P. K. O. P. o szanowaniu tego zabytku przyrody.

Kto chce poznać skarby ziemi polskiej, nie może pominąć „Niebieskich Źródeł". Pozostało w nich jeszcze duzo uroku z lat dawnych. Z jednej strony szeroko rozlana Pilica z mieliznami, kępami i piaskowym brzegiem, srebrzyście połyskującym w słońcu, a z drugiej łagodne wzgórze porosłe starym sosnowym lasem tworzą ramę do obrazu „Niebieskich Źródeł". Od czasu do czasu z sitowia i krzewów na ostrowiach odezwie się gęganie dzikich gęsi, nad wodą przemknie sznur dzikich kaczek lub bocian przeleci nad doliną. Stare olchy szumią nad cichą wodą, odbijając w błękitnem lustrze swoje czarne pnie i konary.

ST. ŚLĄZAK

Z życia górników w kopalni glinki białej w Sielcu.

O trzy mile od Opoczna w południowej stronie, na prywatnych i państwowych gruntach znajdują się rozległe złoża glinki białej. Malownicza okolica posiada mnóstwo pagórków, podobnych do kurhanów ukraińskich.

W głąb rozkopanych pagórków wiodą szyby, głębokie na 25—30 m. Schodzi się do nich po drabinach. Żyła glinki gruba na 1·70 m znajduje się jakby w prasie między dwoma warstwami kamieni.

Z szybu rozchodzą się w różne strony cztery chodniki, które służą do przewożenia glinki.

Są one obstawione dość grubemi klockami („stemplami"), nakrytemi u góry i dołu grubemi balami („wciasami"). Celem uzyskania przewiewu przecinają górnicy z jednego szybu do drugiego korytarze („marse"), albo zakładają do samego dna zbitą z desek rurę, która u góry rozszerza się w olbrzymią trąbę. Gardziel trąby obraca się zwykle w stronę wiatru.

Praca górników rozpoczyna się o godzinie 2 po północy. W roboczych ubraniach schodzą oni, jak duchy, do podziemia, w korytarzu zapalają świecę „Pochwalony Jezus Chrystus".

Biorą żelazne łopaty, młoty, grace i zaczynają pracować. Stojącym na wierzchu ziemi zdaje się, że słyszą nie uderzenia młotami, lecz głębokie jęki cierpiących ludzi. Górnik wbija w glinianą

ścianę łopaty jedną nad drugą i przy pomocy silnej gracy odłupuje słupki gliny, które inni robotnicy wywożą na powierzchnię ziemi.

Praca w każdym szybie trwa po kilka godzin. Robotnicy pracują tylko w nocy i to zimą, gdyż zimą nie jest tak duszno pod ziemią, jak latem.

Wydobytą glinkę nakłada się na wozy lub samochody i odwozi do st. Opoczno lub Końskie, jako doskonały materjał na kafle i posadzkę. Z sieleckiej glinki wyrabia kafle słynna fabryka L. Bauera w Machorach.

W gromadzie górniczej krążą różne podania o ludziach podziemnych czyli skarbnikach.



„Chodź ze mną!" — rzecze skarbnik.

Pewnemu górnikowi zjawił się w kopalni tajemniczy pan podziemi — skarbnik. Górnik sądził, że to brat jego zbliża się doń po ogień do zgasłej świecy. Podał mu więc latarkę, lecz w tej chwili poznał, z kim ma do czynienia. „Chodź za mną", rzecze skarbnik. Usłuchał go górnik, zapomniawszy o wszelkich kłopotach i troskach, a skarbnik zawiódł go do tajemniczego lochu: „Musisz mi służyć przez trzy lata, jeść ci nie dam, a będziesz zawsze syty i lepiej ci będzie, niż na ziemi". Chcąc nie chcąc musiał ów górnik służyć podziemnemu panu.

Chodził z różnymi skarbnikami po wszystkich kopalniach świata, widział wszystkie bogactwa ziemi polskiej: złoto, srebro, drogie kamienie, aż wreszcie nadszedł czas wyzwolin.

„Wyjdź na świat" rzecze skarbnik do górnika, „lecz nie mów nikomu, co widziałeś". Gdy górnik znalazł się między znajomemi, nie dochował tajemnicy skarbnikowi, lecz w tej chwili zakończył życie.

Aby nie dostać się w moc skarbnika, musi górnik pamiętać, aby nie dawać mu ognia do świecy gołą ręką, lecz postawić światło na ziemi, skąd on sam może je wziąć; nie przeklinać w kopalni; w czasie spuszczania stempli do kopalni musi górnik uderzać kamieniem o cembrę i wołać „na bok"!

Czyni to na to, aby nie skrzywdzić skarbnika. Gdy tego zaniedba, może kopalnia zapaść się, żywcem ludzi pogrzebać, a woda zalać szyby.

Że pod ziemią żyją skarbniki, posiadający moc użyczania ludziom bogactw, wierzą w to górnicy, jak w Boga. Nie wiedzą jednak, że tymi skarbnikami są oni sami.

LEON MATYNIA.

Podanie o górze skalnej zwanej Piekłem.

W okolicy Końskich, między jedną wsią zwaną Niebem a drugą Piekłem, znajduje się wzniesienie skalne, któremu lud nadał nazwę: Piekło. Podanie głosi, że przed wielu, wielu laty zebrali się djabli na naradę, gdzieby wybudować dla siebie dogodne piekło. Szukali po całym świecie, aż wreszcie na tej górze zatrzymali się. Tu się im spodobało. Lucyper kazał sprowadzić muzykę, zabawili się djabli wesoło, a potem zabrali się do roboty. Jeden djabeł poszedł do wsi nad rzekę Czarną i przyniósł skradzione drzwi, drugi sprowadził konie do roboty i t. d.

Przestraszona ludność nie wiedziała, co uczynić. Na szczęście nie zdołali djabli wykończyć swego piekielnego pałacu przed 12 godziną w nocy. Gdy kur zapiał, cała budowa piekła zapadła się. Zatrzęsła się ziemia od szczęku kopyt djabelskich. Kiedy już na górze nie było żadnego złego ducha, wybrało się kilku śmiałków na szczyt góry, aby zobaczyć ślady djabelskiej pracy. Ujrzeli piekielne drzwi ugrzęzłe w ziemi, skamieniałą basetlę, skrzypce i bęben oraz ślady kopyt odciśnięte w skale. Od tego czasu nazywają ludzie ową skalną górę oraz pobliską wieś Piekłem.

MICHAŁ CAŁA.

Wiejska medycyna chorób dziecięcych.

Poznanie zabobonów ludowych jest rzeczą bardzo ważną dla każdego pracownika oświatowego na wsi. Musimy poznać zło, aby je zwalczać skutecznie. Oto garść przepisów tradycyjnych wiejskiej medycyny, uprawianej we wsi Wólce-Jagielczyńskiej powiatu rawskiego.

Leczenie przelęknięcia. Dziecko przestraszone nagłym krzykiem, gwałtownem zbudzeniem ze snu, albo niespodzianem pojawieniem się obcego człowieka lub zwierzęcia, rozchorowuje się na „przelęknięcie". Co chwila gwałtownie wzdryga się i ucieka; podczas snu zrywa się i przeraźliwie krzyczy, a często wpada w konwulsje. Do chorego dziecka schodzi się wtedy kilka kum i po naradzie uznają dziecko za przelęknięte. Najdoświadczeńsza kuma stawia miskę z wodą za głową dziecka, na wodę kładzie ułamany dwuzębny patyczek z miotły, widełki okręca włókienkami lnu i roztopiwszy wosk nigdy nie używany, leje go między widełki na wodę. Gdy zastygły wosk da figurkę podobną do osoby, której dziecko przelękło się, wtedy dziecko jest na pewno przelęknięte, lecz wyzdrowieje bardzo prędko. Leczenie to zwie się przelewaniem wosku.

Przelewanie jajka. Przelęknięcie leczą też zapomocą przelewania jajka. Do szklanki z wodą, na której pływają trzy patyczki z miotły, złożone na krzyż, przelewa się jajko. Jeżeli żółtko jajka opadnie na dno szklanki, dziecko jest przelęknięte, lecz nic mu się złego nie stanie.

Leczenie wścicklizny. By zapobiedz „zapamiętaniu się“ dziecka ukąsanego przez psa wściekłego, karmi się je trocinami cisowemi z mlekiem, a rany wypala. Daleko skuteczniej leczy wściekliznę ciecz maika ze spirytusem, w którym ów owad moczył się długo. Ukąsany musi wypić pewną ilość esencji maikowej, domieszanej do znacznej ilości wódki. Po pięciu godzinach strasznych mąk dziecka następuje albo śmierć, albo wyzdrowienie.

Odczynianie uroków. Zazdrosne „niedobre oczy“ urzec mogą nietylko człowieka, lecz także i bydlę, a nawet drzewo. Bydlę dostaje wtedy „paskudnika“, człowiek zniechęca się do życia, chudnie i skarży się na ciągły ból głowy, drzewo schnie. By usunąć urok, bierze kobieta szklankę wody i pięć węgielków drzewnych upala na czerwono, odkrawa skórkę z chleba i gryząc ją po kawałku, wrzuca po kolei do szklanki pięć węgielków i pięć kawałków chleba. Gdy węgielki opadną na dno szklanki, człowieka ktoś urzekł. Wodą „zaczynioną“ smaruje się czoło urzeczonego trzy razy po linji poziomej, a resztę wody daje się mu do wypicia. Urzeczony wyzdrowieje. W ten sam sposób leczy się „urzeczone“ dzieci, Starszym ludziom pomaga często bardzo prosty zabieg lekarski. Do urzeczonego przystępuje kobieta-znachorka i „nadołkiem“ własnej koszuli obciera mu czoło trzy razy, przyczem po każdem obtarciu głośno spluwa. Chory zdrów.

Leczenie usuniętego dziecka. Nienależycie spowite dziecko może piastunce przechylić się w tył na rękach i zwichnąć kręgosłup, czyli „usunąć się“. Aby ochronić dziecko od garbu, kobieta-lekarka kładzie je do góry brzuszkiem na krześle i mierzy, gdzie i w którą stronę będzie go brakować. Mierzy zatem w ten sposób, że dociąga prawe kolanko dziecka do lewego łokcia i lewe do prawego, prawe kolanko do prawego łokcia i lewe do lewego. Po dokonaniu tego „wymiaru“ przewraca „lekarka“ dziecko brzuszkiem do krzesła, a plecami do góry. Chwyta za prawą nogę i lewą rękę i ciągnie dotąd, aż pięta dotknie łokcia ręki i to samo z następną nogą i ręką. Po „wymierzeniu“ dokładnie smaruje dziecko spirytusem lub francuską terpentyną. „Mierzeniu“ temu towarzyszy rozpaczliwy krzyk dziecka, czemu sami rodzice obojętnie przysłuchują się, gdyż tego rodzaju bezlitosna kuracja istotnie często okazuje się skuteczną.

Podnoszenie języczka. Często zdarza się, że dziecku opadnie mały języczek i wtedy dziecko nie może mówić. Lekarka wiejska łatwo zapobiega temu. Roztwiera szeroko usta dziecka i trzonkiem drewnianej warząchwi sięga w głąb jamy ustnej i podnosi „spadnięty języczek“. Dziecko odrazu odzyskuje mowę.

Podnoszenie kuperka. Wskutek upadku na ziemię może sobie dziecko zwichnąć kosteczki ogonowe. Dziecko takie nie może usiąść i niemiłosiernie wrzeszczy. Wiejska lekarka łatwo sobie w takich wypadkach radzi. Znachorka wkłada palec ręki własnej w otwór odbytowy dziecka i przez odpowiednie nakręcenie palcem podnosi „utrącony kuperek“.

Trzy ostatnie zabiegi należą do tej części wiejskiej medycyny, która nie opiera się na zabobonie.

Drobne wiadomości.

Wiejski Uniwersytet Ludowy w Szycach (poczta Kraków 9) otwiera 15-go października br. nowy kurs zimowy pięciomiesięczny dla młodzieży męskiej ze wsi powyżej 18 roku życia. Ma on za zadanie przygotować do życia obywatelskiego, społecznego i jednostkowego a samodzielnego młodzież wiejską, zbliżyć chce w pracy chłopa z inteligencją, jest szkołą szczerej demokracji i czynnikiem dźwigającym ogólny stan kulturalny wsi.

Organizacje wiejskie i ruchliwsze jednostki ze wsi winny się nim szczerze zainteresować. Zgłoszenia na kurs przyjmuje dyrekcja do 1 października, a bliższych i dokładnych informacyj udziela listownie.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Praca krajoznawcza w Państw. Seminarjum naucz. w Tomaszowie Mazowieckim. Specjalnego koła krajoznawczego niema w naszej szkole. Organizacja Samorządu uczniów obejmuje bowiem nietylko sekcję krajoznawczo-sportową ale i samokształceniową, muzyczną, introligatorską, przyrodniczą oraz fryzjerską. Odczytami z różnych dziedzin kieruje sekcja samokształceniowa, posiadająca od kilku lat piękną tradycję pracy. Średnia frekwencja słuchaczów wynosi 40—50 osób. Z dziedziny krajoznawstwa najważniejsze odczyty wygłoszono na temat: Organizacja wycieczek krajoznawczych, Tatry, Metodyka notatek ludoznawczych, 4 odczyty z dziedziny sztuki ludu opoczyńskiego i t. d. Ruch wycieczkowy znajduje od kilku lat materjalne podstawy w funduszu wycieczkowym, który zbierają uczniowie w różny sposób: bądź składając oszczędności na ręce specjalnych skarbników, bądź urządzając płatne przedstawienia i koncerty. Dzięki funduszom zdobywanym w ten sposób mieli uczniowie sposobność zwiedzić w ciągu czterech ostatnich lat: Pomorze, Śląsk Górny i Cieszyński, Kraków, Wieliczkę, Pieniny, Góry Kielecko-Sandomierskie, Częstochowę, Łowicz, Warszawę, Łęczycę, nie licząc Sulejowa, Piotrkowa, Spały oraz wsi leżących w pobliżu Tomaszowa i Opoczna.

Z inicjatywy prof. Tadeusza Seweryna zajęli się uczniowie gromadzeniem zbiorów sztuki ludowej z powiatu opoczyńskiego, brzezińskiego, rawskiego i piotrkowskiego. Niektóre zebrane okazy oddawano w darze Muzeum Etnograficznemu na Wawelu lub Muzeum Przem. im. Dr. A. Baranieckiego w Krakowie. Dwuletnie zbieractwo uczniów przyniosło plon dosyć obfity: ponad 100 wycinanek, około 50 kraszanek, 150 haftów ludowych, 40 próbek wełniaków łowickich, kilka rzeźb i t. p Zbieranie pieśni ludowych z melodjami, podań i zwyczajów w toku. Zapiski melodyj lud. kontroluje prof. Feliks Wiśniowski.

Uczniowie I kursu założyli w bieżącym roku „Muzeum Geograficzne“, w skład którego wchodzi zbiór minerałów zebranych w Tomaszowie i okolicy, mapa gleb trzech sąsiednich powiatów, a wreszcie chluba „Muzeum“: mapy plastyczne i skamienieliny. Pieczołowicie rzeźbione i malowane modele gliniane przedstawiają ukształtowanie pionowe Tomaszowa, erozję Pilicy na zakręcie pod miastem, Błękitne Źródła, groty piaskowcowe pod Smardzewicami nad Pilicą, groty w Nagorzycach i ujście Wolbórki do Pilicy.

Skamienieliny „Muzeum“ pochodzą z kamieniołomów wapiennych na lewym brzegu Pilicy, z Niebrowa, Wąwału oraz z kopalni rudy żelaznej w Parczowie w pow. opoczyńskim. Najliczniej reprezentowana fauna późnojurajska, charakterystyczna dla okolic Tomaszowa (bogata kolekcja Perisphinetes virgatus) przedstawia już dzisiaj materjał bardzo ważny dla paleontologa. Kilka wycieczek, które zwiedzały zbiory Sekcji, zachęciło uczniów do dalszej pracy. Można mieć nadzieję, że za kilka lat minjaturowe „Muzeum Geograficzne“ zwielokrotni i zbiory i wartość swoją.

Sekcja krajoznawcza prenumeruje 46 egzemplarzy „Orlego Lotu“.

Koło Krajoznawcze Uczniów Gimnazjum w Tomaszowie Lubelskim miało na celu poznawanie ojczystego kraju przez urządzanie wycieczek i wygłaszanie referatów: Wycieczki były urządzane tylko w pobliskie okolice, gdyż urządzanie dalekich wycieczek utrudniał brak środków finansowych. Wygłoszono następujące referaty: 1) Zabytki Wilna — 2 części, 2) Brzeg

morza, 3) W ojcowskim Kanjonie, 4) Okolice Wieliczki, 5) Okolice Borysławia, 6) Wydobywanie soli i nafty, 7) Dzieje naszego miasta. Opiekunem Kółka jest p. prof. Tomasz Opałko.

Z książek i czasopism.

Radjo dla wszystkich. Adres: Muzeum Techniczno-Przemysłowe w Krakowie, Smoleńska 9.

Przyrodnik z. 5: T. Jaczewski, Tadeusz Chrostowski, Józef Paczoski: Szata roślinna. Dr. K. Stecki: Roślinność Polski we florze Europy. Dr. Wł. Szafer: Z życia kwiatów.

Pedagogjum nr. 6—7. K. Chmielewski: Wychcwanie. P. Z. Dąbrowski, Z. Aleksandrowicz: Watpliwości programowe. II Zjazd Sekcyj Seminaryjnych T. N. S. W. Nowe książki. Sprostowanie. Komunikaty.

Cena zeszytu pojedynczego (16 stronic) z przesyłką pocztową 20 gr., zeszytu podwójnego (32 stronic) 40 gr. Przedpłata roczna 2·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki i u p. Czaykowskiego, plac WW. Świętych (sprzedaż dzienników).

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Leopold Węgrzynowicz, Kraków IX., Krowoderska 74 II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Nakładem i drukiem „Orbis“ w Krakowie.